



MAREK STELAR

NIE BÓJ SIĘ CIEMNOŚCI.

BÓJ SIĘ TEGO, CO KRYJE.

PTASZNIK

FILIA

MAREK
STELAR

PTASZNIK

FILIA

VOGEL

Vogel leżał na górnym pokładzie swojej łodzi. „Worša”, zacumowana do pomostu, kołysała się niemal niezauważalnie na drobnych falkach wzbudzonych lekkim wiatrem. Lipcowa noc była upalna, żaby hałasowały w szuwarach porastających brzegi kanału, a ich rechot mieszał się z natrętnym cykaniem świerszczy. Na sąsiednich łodziach pogasły już światła, ucichły odgłosy jakiejś imprezy dobiegające z jednego z lekko zaniedbanych budynków na przystani, a Vogel leżał z rękami pod głową wpatrzony w gwiazdy i słuchał cichego chłupotu wody uderzającej lekko o kadłub łodzi. Jej cykliczne, miękkie mlaskanie o stalowe poszycie, raz cichsze, raz głośniejsze, przerywało monotony koncert owadów i płazów zamieszkujących okolice Cieśnicy i Kanału Skolwińskiego. Nieużytki ostrowów lewego brzegu Odry Zachodniej pełne były życia kryjącego się w zastoiskach, trzcinach i krzewach. Tu nawet żyjące od pokoleń dziki były inne: miały nieco bardziej wydłużone ryje, co ułatwiało im buchtowanie w błocie i szlamie i dotarcie do ukrytego pod ich warstwą pokarmu.

Vogel głęboko zaciągnął się powietrzem pachnącym wodą i butwiejącą roślinnością. Uwielbiał ten zapach. Po czarnym niebie przemykał migający punkcik, światła po-

zycyjne samolotu zlewały się, tor lotu wytyczał prostą linię pomiędzy konstelacjami gwiazd, a Vogel śledził go, zastanawiając się, skąd leci i dokąd zmierza. Heinrich Vogel od jakiegoś czasu nie miał większych zmartwień. Mógł sobie na to pozwolić, choć droga do tego momentu jego życia była wyboista i kręta. W zasadzie można było ją podzielić na trzy etapy: ten pierwszy, beztroski, pełen wrażeń, widoków, smaków i zapachów skończył się w dwa tysiące trzecim roku zdarzeniem, które zmieniło jego życie bezpowrotnie, wprowadzając je na tory, jakich nie spodziewałby się w najgorszych koszmarach. Drugi etap był już tylko konsekwencją tego zdarzenia. Trzeci właśnie trwał i Vogel miał nadzieję, że to się już nie zmieni do końca życia, niezależnie ile by ono jeszcze trwało. Od kilku lat żył tak, jak obiecał sobie kiedyś, tkwiąc w klaustrofobicznym wnętrzu ograniczonym czterema odrapanymi ścianami, pośród ludzkich kłótni, wrzasków, bluzgów, stęków towarzyszących masturbacji, w smrodzie potu, moczu, tanich środków czystości i wilgotnych, zatęchłych ubrań, w atmosferze ciągłego zagrożenia i ze schizofrenicznym poczuciem równoczesnej pewności i niepewności tego, co wydarzy się jutro. Każdy następny dzień w tamtym przeklętym miejscu był z drobnymi wyjątkami dokładnie taki sam, ale można było się o tym przekonać dopiero wieczorem. Kiedy mijał, dołączał do pozostałych we wspomnieniach, które Vogel chciał wcisnąć gdzieś w niedostępne zakamarki umysłu, aby nigdy do nich nie wracać. Ale nie dało się, to one wracały. Najczęściej w snach. Coraz rzadziej, ale Vogel nie miał złudzeń, że kiedykolwiek znikną na dobre. Wryły się w pamięć na tyle mocno, że nie były ich w stanie stamtąd wyrugować ani silna wola, ani te

nowe wspomnienia, które może i monotonne, ale szczęśliwe, napływały do głowy od kilku lat.

Życie, jakie prowadził Heinrich Vogel od tamtej pory, było nieskomplikowane. Było dokładnie takie, jak je sobie wymarzył w celi.

Samolot zniknął, zostały tylko gwiazdy. Vogel poczuł, jak jego ciało staje się ciężkie, zapada się w materacu rozłożonego siedziska, a powieki coraz dłużej pozostają zamknięte. Tabletki zaczynały działać. Chwilę później gwiazdy również zniknęły i zapadł w specyficzny stan między jawą a snem, kiedy wszystko wydaje się nierealne i nie da się już odróżnić, co jest jednym, a co drugim. Nie wiedział, czy surowa mimo pozornej obojętności twarz kobiety jest jego imaginacją, czy naprawdę ma ją kilka metrów przed sobą. Słyszy w głowie te słowa, które zmieniają jego życie, tak jak zmieniły je tamte wydarzenia. Coś poszło nie tak i wieczór, który miał być taki jak każdy inny wcześniej: przyjemny i nieco rozpustny, skończył się tragedią, której Vogel był jednym z głównych aktorów, choć nikt go nie pytał, czy tego chce. Po prostu stało się.

Pamięć przywołuje słowa, całe frazy, nie dosłownie, ale to wystarczy, żeby zbudować obraz, który staje się tak realny, jakby znowu był na sali rozpraw.

– Oskarżony, do tej pory niekarany, jako osoba od wielu lat uprawiająca sztuki walki, powinien zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa i ryzyka, jakie niesie za sobą stosowanie tych technik poza salą treningową. Sytuacja, w jakiej oskarżony się znalazł, niewątpliwie stanowiła zagrożenie zdrowia, a nawet być może życia, zarówno jego, jak i osób postronnych, nie powinno to jednak usprawie-

dliwić stosowania środków obrony niewspółmiernych do zagrożenia, a na pewno takich, których użycie w konsekwencji zaskutkowało ciężkim uszczerbkiem na zdrowiu, a następnie zgonem pokrzywdzonego. Biorąc to wszystko pod uwagę, skazuję oskarżonego na karę łączną pięciu lat pozbawienia wolności. Na jej poczet zostanie zaliczony pobyt w areszcie...

Czuje oblewającą go falę gorąca. Gdzieś z boku dochodzi go krótki krzyk matki.

– Przecież to jest sprzeczne samo w sobie, co ona pierdoli? – szepcze w panice do adwokata.

– Nie teraz, Henryk.

– Mówił pan, że potraktują to jako nieumyślne!

– Nie teraz! – Adwokat nie patrzy na niego: stoi zgarbiony ze wzrokiem wbitym w sędzię, lekko skrzywiona głowa jest pochylona, usta wykrzywione w grymasie niezadowolenia i Vogel, kiedy ogląda to teraz jak na ekranie w kinie „Wspomnienia”, nie wie, czy to złość na niego, czy na samego siebie.

– Okłamał mnie pan – szepcze bezsilnie Vogel, który wtedy jeszcze nie jest Voglem. – Obiecał mi pan...

– To jeszcze nie koniec, Henryk, będziemy apelować...

– Proszę oskarżonego o zachowanie spokoju podczas odczytywania wyroku, w przeciwnym razie oskarżony zostanie ukarany karą porządkową grzywny w wysokości...

Przejmujący krzyk żurawia niósł się po wodzie i łąkach Skolwina. Vogel szarpnął się i otworzył oczy, a potem rozejrzał dookoła. Przez chwilę uspokajał oddech i ruszał palcami, zginając je i prostując na przemian, aż poczuł, że drętwienie mija. Słońca nie było jeszcze widać, choć malowało już na

niebie pierwsze, różowe smugi świtu. Klangor powtórzył się, odpowiedział mu drugi. Vogel oblizał wyschnięte usta i przecesał palcami gęste włosy. Lekko rozkołysana jego gwałtownym przebudzeniem łódź spokojnie bujała się na wodzie, słychać było chlupot małych fal odbijających się od kadłuba, dużo głośniejszy w ciszy poranka. Po chwili dołączył do niego jakiś głuchy stuk i plusk. Vogel usiadł i przetarł twarz, a potem złożył siedzisko do normalnej pozycji, odsunął płócienne zadaszanie, przeciągnął się i wbił wzrok w horyzont. Stuk powtórzył się nagle. Dochodził z dołu, gdzieś znad wody i Vogel pomyślał, że jakaś gałąź przyniesiona wodą z kanału obija się o poszycie.

Pieszczotliwie klepiąc po reflektorze białą wespę zawieszoną na stelażu z tyłu rufy, zszedł na dół, do sterówki, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, a potem zszedł niżej, do mesy. W kambuzie nastawił wodę na kuchence i poszedł wziąć prysznic: nie chciało mu się wychodzić na zewnątrz, żeby skorzystać z łazienki na przystani. Kiedy wyszedł z ciasnej, niewiele większej od przeciętnej szafy łazieneczki, zalał herbatę wrzątkiem i ubrał się w luźny T-shirt, slipy i bermudy. Patrząc, jak woda w kubku barwi się na brązowo, zastanawiał się, co będzie dziś robił. Od jakiegoś czasu chodziła mu po głowie wyprawa do Berlina, chciał pomieszkać tam kilka tygodni, pozwiedzać, a potem ruszyć jeszcze bardziej na zachód i powłóczyć się po marinach i kanałach aż do października, kiedy będzie musiał pomyśleć o jakimś sympatycznym miejscu na przezimowanie. Wolał Niemcy, bo jednak infrastruktura była o wiele bardziej rozwinięta niż tutaj, choć tamtejszym użytkownikom marin można było wiele zarzucić, jeśli chodzi o kulturę. Kwestie

finansowe nie miały dla niego znaczenia, za to wygodą owszem. Zwłaszcza po tym, co przeszedł.

Wziął kubek i poszedł z nim na górę. Stojąc na pokładzie, patrzył na budynki stojące w rzędzie nad brzegiem wody, po drugiej stronie krajobraz szpeciły tak samo ustawione blaszaki na łodzie. Przypominało to nieco zabudowę brazylijskich faweli. Upił łyk herbaty, czując na twarzy ciepłą wilgoć jej oparów. Nagle dobiegł go czyjś cichy głos. Odwrócił się. Ktoś łowił ryby ze swojej łodzi, a teraz machał do niego zamaszystymi ruchami. Kojarzył go; miał na imię Paweł, był kierowcą tira, razem z żoną Jolą spędzał na swojej „Niko” każdy weekend. To, że Vogel nie życzył sobie niczyjego towarzystwa, nie oznaczało, że nie orientuje się, kogo ma w otoczeniu. Tego też nauczył się tam. Wiedza o otaczających cię ludziach bywa przydatna i trzeba uważnie słuchać i patrzeć dookoła. To sprawia, że można uniknąć kłopotów, przynajmniej niektórych.

Zmarszczył brwi.

– Hej, coś pływa koło twojej łajby – zawołał tamten niezbyt donośnie.

Głos niósł się dobrze, zresztą „Niko” nie była zbyt daleko. Vogel przez chwilę zastanawiał się, czy nie zejść po prostu pod pokład, zamykając się w mesie. Nie miał ochoty na żadne rozmowy ani na kontakt z kimkolwiek. Nie odpowiadając, a dając tylko tamtemu znak dłonią, że usłyszał, ostrożnie zszedł z kubkiem na nabrzeże, ominął kabel zasilania podłączony do skrzynki, zszedł z wykonanego ze stalowej kratownicy oczepu na trawę i zrobił kilka kroków, czując na bosych stopach zimno porannej rosy. Uważnie zlustrował wodę przy „Worśy”. Jej lustro marszczyło się

lekko, zmącone ruchem łodzi rozkołysanej przy schodzeniu. Nagle przy burcie Vogel zobaczył coś sporego, co unosiło się tuż pod taflą, ale nie był w stanie rozpoznać, co to takiego. Widział tylko, że jest białawe i ma podłużny kształt, przedzielony wpół i po skosie krechę napiętej cumy. Kozuch soczyście zielonej rzęsy wodnej rozchodził się na boki za każdym razem, kiedy falowanie wypychało przedmiot ku górze. Vogel odstawił kubek na trawę. Miał dwa wyjścia. Mógł odsunąć przedmiot z łodzi, ale miałby problem z sięgnięciem go z pokładu, nawet gdyby się położył, poza tym odepchnięcie nie załatwiłoby sprawy. Woda przyniosłaby go z powrotem chwilę później i znów uderzałby w kadłub. Drugim rozwiązaniem było wejście do wody i odholowanie tego czegoś na brzeg, na którym w zaroślach i tak zalegało sporo śmieci: opon i betonowych płyt.

To właśnie dlatego Vogel chciał spędzić zimę w Niemczech: nie znosił syfu, a kiedyś musiał w nim żyć. I wystarczy.

Nie zastanawiając się więcej, wszedł do wody. Nie była bardzo zimna, już prędzej chłodna, bo lato było upalne, a Cieśnica stanowiła płytką i ślepą odnogę kanału, więc woda stała w niej jak w stawie. Vogel brnął w niej po kolana, rozgarniając dłońmi rzęsę, która lepiała mu się do skóry, a jego stopy zapadały się w śliskim, zaskakująco i nieprzyjemnie zimnym mule. Był już blisko „Worśy”, kiedy wezbrana nogami fala przesunęła przedmiot w kierunku łodzi i znów rozległ się dziwny, głuchy stuk. Wypchnięty na powierzchnię ukazał się oczom Vogla niemal w całej okazałości i to sprawiło, że mężczyzna stanął jak wryty. Z uniesionymi rękami oblepionymi drobnymi kropkami rzęsy wpatrywał się w pakunek kołyszący się na wodzie

niemal u jego kolan. Spod warstwy oblepionej rzęsą folii przebijała blada biel i coś, co przypominało grubą, plecioną linę, która wiła się wzdłuż zawartości pakunku jak anakonda zsuwająca się z brzegu do brudnej wody Amazonki.

– Co to? – zawołał z zaciekawieniem Paweł.

Vogel drgnął, wyrwany z odrętwienia. Odwrócił się powoli do człowieka z wędką ze ściśniętym sercem, wkurwiony i przerażony jednocześnie, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani słowa. Krzyk żurawia znów przeszył ciszę poranka, jak w tandetnym filmie, i Vogel znów doznał tego samego uczucia, jak wtedy, kiedy stanął z manelami w drzwiach celi, która miała stać się jego domem na najbliższych kilka lat.

Po prostu nie miał pojęcia, co robić.

CIAŁO

Vogel siedział na górnym pokładzie i przyglądał się zamieszaniu na nabrzeżu. Rozparty na leżaku w cieniu namiotowego płótna rozpiętego na stelażu obserwował krzątających się policjantów. Pod drzewami, jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów od kei, stało kilka radiowozów, cywilny samochód i szary bus na policyjnych blachach. Vogel domyślił się, że przyjechali nim technicy kryminalistyczni. Nurek holował właśnie pakunek do brzegu, gdzie czekała już grupka mężczyzn. Stali z rękami w kieszeniach spodni albo z założonymi ramionami i robili to samo co Vogel: przyglądali się.

I czekali.

Vogel był już przepytany krótko przez patrol, który dojechał na miejsce jako pierwszy. Wiedział, że czeka go jeszcze o wiele dłuższa przeprawa z kolejnymi policjantami. Obawiał się tego. Każdy, kto kiedykolwiek siedział w więzieniu, dostawał gęziej skórki na myśl o spotkaniu ze stróżami prawa, nawet jeśli miała to być zwykła rozmowa. Obawa, a nawet strach były trwale zakorzenione w duszy, wdrukowane w umysł i system nerwowy, i nic nie mogło tego zmienić, a przynajmniej tak sądził Vogel. Był świadomy swojego strachu, ale robił wszystko, żeby nie dać pokazać

go po sobie. Tak jak tam, w Goleniowie. To była pierwsza rzecz, którą powiedział mu w celi Rubens: nie możesz pokazać komukolwiek, że się boisz, bo masz przejebane. Będą jechać po tobie, będą cię gnębić, ruchać i wysługiwać tobą. To będzie twój koniec. Miał te słowa wciąż w pamięci, przechowywał je tam jak najcenniejszy skarb, lekcję życia, której nie zapomni do jego końca.

Dlatego siedział bez ruchu na górnym pokładzie, oddychając miarowo i spokojnie, i czekał, co wydarzy się dalej. Kiedy zobaczył, jak właściciel łodzi, który zawołał godzinę wcześniej, że coś pływa obok jego łajby, wskazuje go stojącym na brzegu mężczyznom, poczuł, jak tężeją mu mięśnie ud. Jedyny objaw strachu, na jaki mógł sobie pozwolić. Kontrolowany upust, skanalizowany w jednym miejscu ciała.

Niewidoczny.

Ale mężczyźni pokiwali tylko głowami i podeszli do skraju nabrzeża, wystającego jakiś metr ponad lustro wody. Policjanci z pomocą nurka wyciągnęli z niej pakunek i ostrożnie położyli na rozpostartym nieco dalej na trawie materiale w tej samej pozycji, w jakiej pływał. Nurek wrócił pod mętną, płytką wodę, żeby sprawdzić, czy nic nie zostało na dnie, tuż pod powierzchnią widać było niewyraźny zarys jego sylwetki i płetw, a na niej wykwitwały bąble powietrza uwalnianego z aparatu.

Po rozstawieniu rozpiętych na stelażach granatowych ekranów z napisem POLICJA technik zaczął usuwać folię, drugi robił zdjęcia. Zdejmowane po kolei warstwy stopniowo ujawniały koszmarną zawartość. Vogel miał ze swojego miejsca znakomity widok, bo ekrany rozstawiono tak, żeby

ukryć miejsce oględzin przed oczami ewentualnych gapiów tylko od strony brzegu. Po odsłonięciu zwłok, dokładnych oględzinach i obfotografowaniu ich technicy odwrócili je na plecy. Wtedy Vogel zobaczył, że ofiarą jest kobieta, a chwilę później spostrzegł, że jeden ze stojących obok mężczyzn przypatruje mu się uważnie. Odwrócił wzrok, kierując go w stronę wody, ale było za późno. Był świadomy, że wymiana spojrzeń być może tylko przyspieszyła spotkanie, które i tak było nieuniknione. Mężczyzna ruszył w kierunku jego łodzi, więc Vogel przełknął ślinę i spróbował opanować drżenie rąk, a potem zszedł na dół, wychodząc mu naprzeciw.

– Dzień dobry, policja. Można? – Wysoki, ciemny brunet uśmiechnął się do niego, zatrzymując się przy rufie.

– Zapraszam – mruknął. – I proszę zdjąć buty.

– Przykro mi, policjant na służbie nigdy nie ściąga butów.

Zerknął na jego stopy i uznał, że obuwiu nie poniszczy pokładu, choć i tak nie miał żadnego pola do dyskusji. Odwrócił się i zniknął w mesie, nie czekając, aż policjant wejdzie na łódź.

Po chwili poczuł, jak podłoga rusza mu się pod stopami. Usiadł na kanapie i założył ramiona, ale niemal natychmiast położył ręce na kolanach, kiedy uzmysłowił sobie, co taka poza oznacza. Zamknięcie. Obronę. Chwycił stojącą na małym, składanym stoliku puszkę z colą, żeby zająć czymś przynajmniej jedną rękę. Otworzył ją szybko z sykiem i upił łyk, żeby zwilżyć wnętrze ust. Policjant zszedł do mesy po kilku stopniach i rozejrzał się z ciekawością po wnętrzu. Uśmiechał się nieznacznie. Potem usiadł naprzeciwko w takiej samej pozycji jak Vogel i popatrzył na niego.

Nagle jego oczy pociemniały lekko, czoło zmarszczyło się, a prawa ręka z wystawionym palcem wskazującym wyciągnęła się w stronę Vogla.

– My się chyba znamy, prawda? – zapytał z zaskoczeniem.

– Nie sędzę. – Vogel zdecydowanie pokręcił głową.

– A jednak. *Herr* Heinrich Vogel, zgadza się? I proszę, okazuje się, że jednak mówi pan po polsku, panie... – Policjant zawiesił znacząco głos i Vogel wiedział już, co chce powiedzieć, choć nie miał pojęcia, jak się tego dowiedział.

Nie dał rady. Kanał, którym kierował strach do ud, okazał się za wąski. Strach wylał się z niego i zalał całe ciało, sięgając twarzy, włosków na karku i palców, które zesztyniały nagle. Rozległ się trzask metalu, kiedy Vogel zmiażdżył puszkę z colą. Poczuł, jak słodki, gazowany płyn zalewa mu dłoń.

– Nazywam się Vogel – wycharczał, oblizując palce.

– Zgadza się, wszystko już wiem. Szkoda, że nie powiedział mi pan tego wtedy, w hotelu.

Słyszając to, Vogel uświadomił sobie, gdzie się spotkali. Zamknął na chwilę oczy. Strach nieco zelżał. Nie miał w końcu nic na sumieniu. Ani wtedy, ani teraz.

– Sprawa Helene von Zussow, jakieś cztery, pięć lat temu.

Z ust policjanta nie schodził uśmiech. Był całkiem sympatyczny i nie wyglądał na sztuczny.

– Już pamiętam – szepnął Vogel.

Gliniarz przyglądał się mu z ciekawością, jakby byli dawnymi kolegami, którzy nie wiedzieli się szmat czasu i teraz patrząc w swoje twarze, uświadamiali sobie, ile właściwie go minęło.

– To może ja panu przypomnę moje nazwisko: podkomisarz Dominik Przeworski, wydział kryminalny komendy miejskiej policji w Szczecinie.

Vogel milczał.

– Uciekł pan wtedy – stwierdził Przeworski, marszcząc lekko nos.

– Nie uciekłem. Wyjechałem.

– Na jedno wychodzi, panie Vogel. Prosiłszy pana o pozostanie na miejscu, zgadza się?

– Zrobiłem, co chcieliście, współpracowałem. Poza tym, jestem obywatelem niemieckim...

– Ma pan podwójne obywatelstwo – zauważył policjant, przerywając mu. – A to oznacza, że na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jest pan traktowany jak obywatel polski. Czyba jest pan tego świadomy?

Nie odpowiedział.

Przeworski wypchnął językiem usta i mlasnął cicho.

– A wracając jeszcze na chwilę do tej sprawy... – Znów zawiesił głos i to ponownie spowodowało, że Vogla zaczęła zalewać krew.

– Byłem niewinny – warknął.

– Zgadza się, to też już wiem, inaczej byśmy tutaj nie siedzieli. Ale trochę krwi mi pan napsuł tą ucieczką.

– Wyjazdem.

– Wyjazdem, niech panu będzie. Dobrze, faktycznie zostawmy już to i skupmy się na tym, co trzeba. Pan znalazł ciało, tak?

Vogel oblizał usta.

– Tak i nie – odparł po chwili namysłu.

– Tak twierdzi pana sąsiad.

– Nie jest moim sąsiadem, nawet go nie znam.

– Powiedział, że kotwiczony tu od kilku tygodni, podobno pan też co najmniej od tyłu. Myślałem, że motorowodna brać trzyma się razem?

– Nie jestem zbyt towarzyski. Nasze łódzie dzieli jakieś trzydzieści metrów i pomost. To on zawołał, że coś pływa koło mojej. I nie wiedziałem, że to ciało. Nie wtedy.

– Precyzja. – Przeworski uniósł lekko brwi i pokiwał z uznaniem głową. – To lubię. Dotykał pan zwłok?

– Nie.

– Nie obracał pan ich? Nie rozrywał folii? Nie próbował wyciągnąć na brzeg?

– Po co?

– Odruchowo.

– Nie. Zorientowałem się, co to jest, kiedy podszedłem bliżej. Nie musiałem niczego dotykać ani tym bardziej rozrywać folii.

Przeworski obrzucił szybkim spojrzeniem jego nogi. Włosy na goleniach były już suche, ale skraje nogawek szortów ciemniały w miejscach, gdzie jasnoszary materiał nasiąknął wodą.

– Chciałbym, żeby pan je obejrzał. – Brzmiało to jak propozycja nie do odrzucenia.

– Słucham? – Vogel zdębiał. – Po co?

– Może pan ją znał?

– Niby dlaczego miałbym ją znać? Nawet nie wiedziałem, że to kobieta.

Policjant zatrzymał wzrok na jego twarzy, ale on wytrzymał to spojrzenie. Siedzieli tak przez chwilę, a potem Vogel gwałtownie wstał, pochylił się i wyszedł na rufę. Na

zewnątrz odetchnął głęboko świeżym powietrzem, które już, mimo wczesnej pory, robiło się parne. Zeskoczył na brzeg, specjalnie odbijając się mocno od pokładu, żeby rozbując łódź. Odwrócił się i patrzył z satysfakcją, jak lądowy szczur próbuje zachować równowagę, jedną nogą stojąc jeszcze na rufie, a drugą macając ląd. Po chwili obaj podeszli do zwłok.

Leżały na wznak, sztywno, z rękami wzdłuż ciała. Wokół nich rozpościerały się płachty rozciętej folii. Kobieta miała mięsistą twarz, sine usta były otwarte, powieki lekko uchylone, obfite piersi zwisały na boki, widać było lekką otyłość brzuszną. Ciemne, gładko zaczesane włosy przylegały do czaszki, nad ramieniem wił się gruby, mokry warkocz, który Vogel wziął z początku za okrętową linę. Widać było, że ofiara musi być już sporo po czterdziestce. Jej skóra miała barwę alabastru, a pośrodku czoła widniał niewielki otwór.

– Nie była w wodzie długo, bo skóra nie jest zmacerowana, no i ma jeszcze gałki oczne – mruknął policjant. – Chociaż ta folia chroniła przed dostępem ryb.

– Naprawdę musi pan się ze mną dzielić takimi szczegółami?

Przeworski drgnął jak wyrwany z zamyślenia i spojrzał na niego.

– Tylko głośno myślę. Zastanawiam się, jak się tu znalazła i jak długo pływała.

– Wczoraj wieczorem jej tu nie było. Nie w okolicy mojej łodzi.

– Jest pan pewien?

– Tak.

– O której pan zasnął?

– Około pierwszej.

LAUREAT NAGRODY WIELKIEGO KALIBRU 2023 ROKU!

Heinrich Vogel był kiedyś innym człowiekiem. Miał inne nazwisko, życie i świat, który stał przed nim otworem. Dwadzieścia lat wcześniej jedno zdarzenie zniszczyło wszystko i zmieniło go bezpowrotnie. Gdy już poukładał sobie życie na nowo, dociera do niego wiadomość, że w katastrofie śmigłowca ginie jego niewidziany od tamtej pory ojciec, a niedługo potem znajduje pływające w wodzie ciało zastrzelonej kobiety.

Nękanym przez Miszę, dawnego współwięźnia i we współpracy z komisarz Iwoną Banach z CBŚP, Vogel idzie śladem ojca uwikłanego w ciemne interesy. Tropy wiodą go do Niemiec, skąd pochodzi część jego rodziny i prowadzą do tajemniczej kasety VHS: nagrany na niej krótki film jest kluczem do zrozumienia wszystkiego.

**PIERWSZA CZĘŚĆ NOWEJ SERII KRYMINALNEJ
AUTORA BESTSELLERÓW!**

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilialia.pl



FILIA MROCZNA
STRONA

cena 47,90 zł

ISBN 978-83-8357-267-3



9 788383 572673